

Małgorzata Baranowska

Koniec świata

Teksty Drugie : teoria literatury, krytyka, interpretacja nr 2, 160-165

1990

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Małgorzata Baranowska

Koniec świata

Jak daleko w czasy studiów sięgnę pamięcią, słyszę z korytarza zbliżające się majestatyczne kroki Marii Renaty Mayenowej. Rozlega się jej głęboki kontralt i pobrzękują srebrne bransoletki, których z latami przybywało (co rok jedna), aż wreszcie wszystkie, nie wiem ile, zdjęła, odłożyła i sądzę, że zginęły, gdy włamano się do jej mieszkania. W wielkiej tece przynosiła za każdym razem kilka kilogramów książek w różnych językach. Nawet jeśli się ich nie miało poznać, ta biblioteka leżąca na obskurnym stoliku uniwersyteckim, z początku egzotyczna, po szkolnym kursie literatury, miała w sobie niezmiennie coś pociągającego, jakąś ukrytą obietnicę.

Spędziłam na zajęciach profesor Mayenowej całe studia. Gomółka nie był w stanie ustawić takiego muru między Uniwersytetem Warszawskim a Instytutem Badań Literackich, żeby się tam nie dostawali studenci do swych wyrzuconych w roku 1968 profesorów. Jakoś nie było po prostu mody na kontrole w Pałacu Staszica. Przepustkę musiałam nosić przy sobie dopiero jako adiunkt w latach 1981-82. W sześćdziesiątym ósmym, dziewiątym wносиłam tylko jakiś potworny wstyd i naiwne zdumienie, bo znalazł się ktoś na seminarium, kto kablował wypowiedzi Mayenowej na temat Kołakowskiego czy czegoś, wszystko jedno w końcu czego. Mayenowa, zamiast zastanawiać się nad przysłówkami u Kochanowskiego, była zajmowana pytaniami o słuszność i syjonizm, co oczywiście mogło się zdarzyć i bez donosów.

W każdym razie wojna sześciodniowa w Ziemi Świętej i gazy łzawiące na

Krakowskim Przedmieściu zaskakująco wpłynęły na moje studia językoznawcze i teoretyczno-literackie, jakby je przedłużając. Nie spodziewałam się, że zaczęta wtedy rozmowa będzie trwała mniej więcej ćwierć wieku. Ani nie mogłam podejrzewać, że w ten sposób zbliżam się do tajemnicy końca świata lub nawet kilku końców kilku światów. Silnie zaczęłam to odczuwać niedawno, kiedy Mayenowa oddalała się gdzieś w niedostępne obszary pamięci. Nagle wypowiadała kilka zdań o jakimś zamierzczłym wydarzeniu takim tonem, jakby mówienie o czymś tak obcym dla terażniejszości wydawało jej się bezcelowe. Mimochodem z jej myśli wyglądał na przykład ojciec i od razu znikał. Zaraz wracałyśmy do Kochanowskiego.

Jechałyśmy w stronę gór Sierra de Guadarrama. Autobus wycieczki do Segowii wydawał się zatopiony w szarym świetle. Kto jeździ zimą do Hiszpanii? A jednak myśmy poleciały w grudniu 1979 roku do Madrytu, żeby przestawać z Boschem, Breughlami, Zurbaranem. Gdyby nie hiszpańska zima nigdy nie pogodziłabym się z niemożliwym światłem sączącym się z obrazów El Greco. Na drodze do Segowii rozmawiałyśmy o tych gotowych do przerodzenia się w zielen lub fiolet zagęszczonych szarościach, które nie wychodzą na reprodukcjach.

Jak się w naszą rozmowę wplątał Witkacy? W każdym razie spytałam o zaginiony portret przez niego zrobiony. Fotograficzną reprodukcję wiszącą w pokoju Mayenowej oglądałam często. Sportretowana Mayenowa miała na sobie bardzo oryginalną bluzkę. — Ależ to suknia — zaprotestowała i wymieniła jakąś nazwę. Nie pamiętam jej zupełnie.

Mayenowa, wspominając bardziej suknię niż Witkacego, nagle postanowiła uczynić wysiłek, by wytłumaczyć mi przynajmniej jedną z tej masy rzeczy jakich nie tylko nie mogłam o niej wiedzieć, ale nawet sobie wyobrazić. Ale najpierw o Witkacym. W roku 1937 (?), data powinna być na portrecie, Mayenowa spędzała wakacje w Zakopanem i tam spotkała Witkacego. Wszystkie kobiety chciały mieć portret jego ręką robiony, tylko nie ona. Nudził ją, jak zresztą wcale niemało ludzi i rzeczy przez całe życie. Chyba się tym zaciekawił i sam ją poprosił o pozowanie. Na portrecie Mayenowa nie wygląda na specjalnie zadowoloną. Zachowany jednak został, charakterystyczny dla niej, pewniem władczy rys.

— Nie wiem, jak ci wytłumaczyć — powiedziała, patrząc na kastylijski krajobraz równie nierzeczywisty jak przeszłość — jaka ja byłam bogata. Co zrobić, żebyś mogła zrozumieć? Powiedzmy tak. Kiedy jechałam z Wilna do Warszawy to nie to, że mogłam kupić książki u Gebethnera i Wolffa, ja mogłam kupić skład Gebethnera i Wolffa. Ale mnie interesowały tylko suknie.

Bardzo rzadko Mayenowa decydowała się przerzucić wąską kładkę nad odczuwaną przez nią wyraźnie przepaścią dzielącą nasze światy. Oczywiście, nie chodziło o możliwość kupienia księgarni czy wydawnictwa, ale o to, że ona całkowicie należała do znanego mi świata, ale ja w jej świecie należałam tylko do niewielkiej i może nie do końca dla niej prawdziwej części. I tak miałam szczęście znaleźć się w jednej z dwóch grup (profesorów i uczniów), które ją naprawdę interesowały w czasach, kiedy ją znałam. Sama została nauczycielką i zbliżyła się do uczonych wileńskich wtedy, gdy podobno interesowały ją tylko suknie.

Zawsze można z nią było porozmawiać o krawcach, szlachetnych kamieniach czy szewcach warszawskich. Wydawało by się, że po świetności tych ostatnich zostały tylko mgliste wspomnienia, a przecież ona dalej robiła sobie dobre buty na miarę na Nowym Świecie. Parę razy w jakichś drobnych sprawach byliśmy też u dobrego jubilera na Wąskim Dunaju. Mayenowa nigdy nie znajdowała wytłumaczenia dla jakiegokolwiek abnegacji. Naturalnym przeznaczeniem człowieka wydawało jej się utrzymywanie formy. Tak się zachowywano w jej świecie. Nie widziała powodu, by cokolwiek zmieniać, mimo że tamten świat nie istnieje.

Przypominam sobie jeszcze przed Segowią odezwanie Mayenowej sprzed wielu lat. — Nie możesz sobie wyobrazić z jakiej rodziny ja pochodzę. Mój ojciec był kupcem pierwszej gildii. Teraz, tutaj (w Warszawie) ta nazwa nie ma żadnego desygnatu. Zaręczam ci, że oznaczała wielki majątek. Ojciec stracił wszystko w czasie rewolucji, ale wyszłam dobrze za męża.

Ojciec chciał, by się uczyła, jak chłopiec, hebrajskiego i interpretacji świętych tekstów. Matka się nie zgadzała. Syna nie mieli. W nowym, zmienionym życiu, jakiego nie planowali, nauczyła się polskiego, mając chyba trzynaście lat, bo jej pierwszym językiem był rosyjski. Po studiach polonistycznych w końcu robiła coś, czego ojciec nie mógł przewidzieć, poświęciła się studiowaniu tekstów, „literze”. Pozostała mu na swój sposób wierna.

Przywołałam Mayenową z daleka, z czasów, w których trudno ją rozpoznać, bo jako dama nie odznaczała się niczym, co mogło się kojarzyć z dzieciństwem. Jeśli już tam zaszłam, spróbujmy wspomnieć dziadka. Pojawił się tylko raz, zupełnie niedawno. Prowadził ją za rękę do kwaciarni.

Kilka lat temu zostałam zaproszona w samym środku Warszawy na kolację sederową. Przyjechała na wymianę młodzież z kibuców akurat na święto Pesach. Znajomi korczakowcy zaprosili także i mnie. Nie mogłam pójść, ale kiedy tam trwała uroczystość, Mayenowa w naszej zwykłej

wieczornej rozmowie telefonicznej postanowiła mi opowiedzieć o kolacji sederowej, o znaczeniu gorzkich i słodkich potraw, o półleżącej pozycji biesiadników, o tym, jak ojciec ukrył kawałek macy pod poduszką, bo tego dnia dzieci muszą odnaleźć tę macę, żeby dostać prezenty. Właściwie opowiadanie nie wyjaśniło mi zbyt wiele. Mówiło jednak o małej dziewczynce, która sama chciała sobie wybrać na prezent kwiaty. Następnego dnia dziadek wziął ją za rączkę i udali się przez chłodną moskiewską ulicę do kwaciarni, gdzie dostała cudowny kosz hiacyntów.

Niezmiernie rzadko słyszałam od niej tak sielskie historie. Te hiacynty — prawie z początku wieku — także od razu pokrył kolor żałoby. Nie chodziło w tym wypadku o dziadka. Przypomnienie go wywołało w niej tylko jakiś szczęśliwy rezonans. Szło o to, że nasza rozmowa toczyła się w Warszawie, w mieście, gdzie jeszcze pół wieku temu tak wiele dzieci cieszyło się na sederowy wieczór. A teraz ona, zatęskniwszy za obyczajem z dzieciństwa, nie ma dokąd w ten wieczór pójść.

Mayenowa chętnie pozbywała się z pamięci historii, a przede wszystkim własnego życiorysu. One jednak były nieubłagane. Objawów, jakie towarzyszyły tym jakimś powrotnym falom uderzającym w nią ze straszliwą siłą, nie zamierzam wcale opisywać. Nieszczęścia Europy środkowej i wschodniej są dostatecznie wszystkim znane. Ich przejawy w poszczególnym, jednym życiorysie mogą chyba pozostać sprawą prywatną bez straty dla ogółu. Mayenowa w każdym razie nie zamierzała nikomu ułatwiać opowiedzenia tego, o czym pamiętała właściwie w każdej sekundzie, to znaczy o zagładzie. Wręcz przeciwnie, marzyła o tym, by wszyscy bardziej zajęli się sobą a mniej Żydami.

Nawet artykuły z „Tygodnika Powszechnego”, ukazujące się od paru lat, przyprawiły ją o rodzaj uczulenia. Piszą dobrze czy źle, szlachetnie czy nie, niechby przestali! O czymkolwiek rozmawiałyśmy, często kończyła rozmowę życzeniem: „żeby już raz nareszcie przestano się zajmować Żydami”. Nie czytywała gazet. Skąd wiedziała, co w nich napisano? Póki żył pan Mayen, w ich mieszkaniu całą dobę słyhać było wiadomości wszystkich możliwych radiostacji. Potem żadnych gazet, radia ani telewizora.

Pan Mayen umiał przeciwdziałać rozpacz, interesował się bardzo współczesnością, promieniał wewnętrzną pogodą. Pod jego nieobecność znacznie łatwiej dawała się wciągać przez ducha zagłady, którego Mayenowi udało się już kiedyś zwyciężyć, gdy ona skłonna była podążyć, by połączyć się z mordowaną wspólnotą. Po jego śmierci została z końcem świata. Chwilami miałam wrażenie, że ona po prostu jest końcem świata. Nie było jednak łatwo się dowiedzieć, jaki to świat.

Zmiana języka, zmiana klasy społecznej, zmiana religii, zmiana Europy, wszystko to odbywało się bezpośrednio w tkance życia Mayenowej. O ile rozumiałam, ochrzciła się wychodząc drugi raz za mąż. Dla Mayenowej, znanej mi, nie stanowiło to podstawowego problemu. „Litera” była dla niej wieczna. Idea istnienia Boga nie wydawała jej się obca. Bóg stawał się dla niej niezrozumiały tylko jako ta Osoba, która mogła dopuścić do historii Europy, tak historii Wilna jak Toledo.

Przywiązywała wagę do modlitwy, zresztą raczej cudzej. Wydawało się, iż sądzi, że modlitwy niektórych są skuteczniejsze niż innych. Z podróży przywoziła dla różnych ludzi wizerunki świętych. Figurkę świętego Antoniego, którą noszę przy sobie, też ona przywozła z Padwy.

Zaskakujące, że teraz, gdy umyślnie usiłuję sobie przypomnieć Mayenową, wracają do mnie głównie jej wspomnienia, jej nieliczne w końcu, zdania o sobie. Zwracała uwagę ich forma. Nagle, znikąd, pojawiały się niewielkie strzępki wydarzeń prawie pozbawione dat. Na jej sposób opowiadania, jak sądzę, wpłynęły przede wszystkim dwie przyczyny. Pierwszą stanowiło wychowanie. Pamiętam, że właśnie Mayenowa już na samym początku seminarium, na pierwszym roku, analizowała ograniczenie ekspresji spowodowane wychowaniem prowadzącym do używania tylko powściągliwych gestów. Człowiek odpowiednio wychowany — kiedyś mówiło się „dobrze” — pozbawiony jest pewnego typu ekspresji prywatności. Do sfery prywatności należały zwłaszcza wszelkie nieszczęścia, choćby stały się udziałem całych narodów. Nawet przyjaźń nie starczała jako motyw, żeby przekroczyć dystans.

Drugą przyczyną nie tylko jej powściągliwości, ale niekiedy i trudności w porozumiewaniu się z ludźmi, wydawała się wielka liczba rzeczy, o których Mayenowa musiała, albo chciała zapomnieć w swoim „przerywanym życiorysie”. Inna sprawa, że niektóre z nich nagle, ze znaczną siłą wybuchały w jej pamięci: jakaś scena z pogromu na Uniwersytecie Wileńskim, jakiś szczególny dzień zagłady. Inne fakty, raz ukryte, nigdy już nie powróciły. Po zagładzie całkowicie zapomniała języka jidisz i nie mogła go sobie przypomnieć, nawet w chwili, kiedy tego bardzo pragnęła.

W jej opowieściach panował czas dziwnie nielinearny, jakby pokiereszowany. Przeszłość była nieprawdopodobnie pokawałkowana. Teraźniejszości należało się tylko tyle uwagi, ile było konieczne. Pamiętam, jak w pierwszy dzień Bożego Narodzenia w Madrycie Mayenowa poprosiła mnie, żebym opowiedziała jej dziennik telewizyjny, na który właśnie patrzyłyśmy. Nie było w tym nic trudnego, jeśli czytało się stale gazety polskie i na przykład francuskie, ale dla Mayenowej prawie wszystkie osoby i zdarzenia

pochodziły z jakiegoś nieznanego, jakby na tę wyłącznie chwilę, dla potrzeb ekranu stworzonego kosmosu. Ulotna terażniejszość nie była warta zachodu.

Przyszłość mogła dotyczyć właściwie tylko takich przedsięwzięć jak *Słownik polszczyzny XVI w.* Ku mojemu zdziwieniu pojęcie przyszłości kojarzyło się Mayenowej z wróżką. Okazało się, że w Wilnie, w czasie wojny, leżała dwa tygodnie przedzielona od wróżki niezbyt grubymi drzwiami. Cały czas słuchała optymistycznych przepowiedni, na które było wówczas wielkie zapotrzebowanie.

Czasami, gdy instytutowy korytarz jest przypadkiem pusty, widzę Mayenową, jaką również była: kobietę dobrze ubraną, przystojną, władczą, wyglądającą na kogoś mającego poczucie własnej wartości, osobę, której czas się nie miał. Wzbudzała silne, bez względu na barwę, uczucia. Sama skłonna do silnych uczuć przyjaźni, nie ukrywała też, jeśli kogoś nie lubiła. W ciemnym korytarzu już prawie słyszę: „Małgorzateczko”. Nikomu już tu, w centralnej Polsce, nie będzie się chciało trudzić wymówieniem takiego zdrobnienia. Czekam na pilne wezwanie do analizowania następnej metafory Kochanowskiego. Nie nadchodzi.

Do dziś w Instytucie pamięta się wspaniałe kapelusze Mayenowej chyba z wczesnych lat pięćdziesiątych, albo nawet z końca lat czterdziestych, bo przecież przywiezione zostały z Pragi, po tym, jak Mayen był tam na placówce od roku 1946. Jak się ostatnio dowiedziałam, jeden był czarny, drugi brązowy, jeden z piórem, drugi z pomponem. Który z czym, nie udało mi się wykryć. Czy w kapeluszu, czy nie, kiedy Mayenowa wchodziła dokądkolwiek, wiedziało się, że jest.